

LAINI TAYLOR



CÓRKA
DYMU
I KOŚCI

PIERWSZY TOM BESTSELLEROWEJ SERII

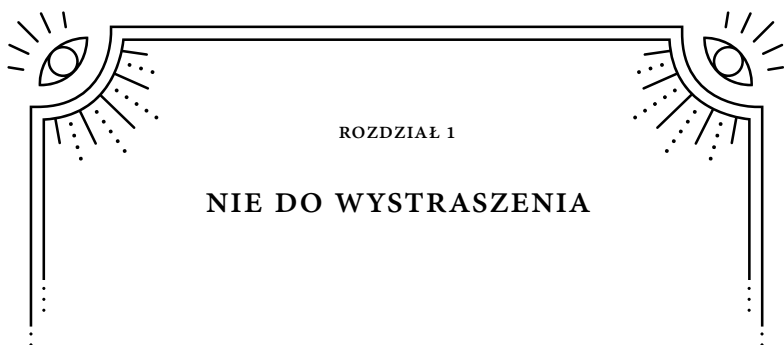
moondrive

*Dla Jane
za cały świat możliwości*

*Dawno, dawno temu
Anioł i diabeł zakochali się w sobie*



To się źle skończyło



ROZDZIAŁ 1

NIE DO WYSTRASZENIA

Idąc do szkoły po bruku wyrównanym warstwą śniegu, Karou nie miała żadnych złych przeczuć dotyczących nadchodzącego dnia. Wyglądało na to, że przed nią kolejny zwyczajny poniedziałek, całkiem niewinny, jeśli nie liczyć jego poniedziałkowości, a co dopiero jego styczniowości. Było zimno i ciemno – w środku zimy słońce nie wschodziło przed ósmą – ale było też pięknie. Padający śnieg i wczesna pora sprawiały, że Praga zdawała się miastem widmem, jak ze starej fotografii, srebrzystym i rozmytym.

Po arterii ciągnącej się wzdłuż rzeki mknęły tramwaje i autobusy, przypominając, że trwa dwudziesty pierwszy wiek, lecz tam, gdzie ulice były ciche, zimowy spokój przenosił w inne czasy. Śnieg. Kamienie. Światła znikąd. Odgłos kroków Karou. Rzadka para unosząca się z jej kubka z kawą. Była sama, pogrążona w przyziemnych rozważaniach o szkole i codziennych sprawach. Od czasu do czasu przygryzała policzek, gdy ścisnęło się w niej serce, jak to serce miewa w zwyczaju, ale odsuwała te myśli, rozsądnie pragnąc zostawić za sobą pewne rzeczy.

W jednej dłoni trzymała kubek kawy, drugą przyciskała do ciała płaszcz. Przez ramię miała przewieszoną teczkę z rysunkami,

a na jej włosach – rozpuszczonych, długich, intensywnie niebieskich – zdążyła pojawić się koronka utkana z płatków śniegu.

Był zwyczajny dzień.

Aż nagle...

Coś prychnęło, usłyszała szybkie kroki, wtem ktoś zaszedł ją z tyłu i przycisnął do szerokiej, męskiej piersi. Czyjeś ręce odsunęły jej szal i poczuła zęby – zęb y – wbijające się w szyję.

Nadgryzające ją.

Ktoś ją g r y z ł.

Poirytowana, próbowała się go pozbyć i nie rozlać przy tym kawy, ale trochę i tak wylało się z kubka wprost w brudny śnieg.

– Jezu, Kaz, odwal się – warknęła, odwracając się i stając twarzą w twarz ze swoim byłym.

Blask latarni oświecał delikatnie jego piękną twarz. *Głupio piękną*, pomyślała, odpychając chłopaka. *Głup i a t w a r z*.

– Skąd wiedziałas, że to ja? – zapytał.

– To zawsze jesteś ty. A ja nigdy się na to nie łąpię.

Życiową aspiracją Kazimira było wyskakiwanie zza różnych rzeczy. Wkurzało go, że Karou nigdy nawet nie zadrżała.

– Jesteś nie do wystraszenia – zwykł narzekać i wydymał z dąsem wargę, sądząc, że nie da się mu oprzeć.

Jeszcze niedawno wcale by się nie opierała. Uniosłaby się na palce i lizała jego nadętą wargę, przeciągle i pieczołowicie, a potem skubała ją zębami, aż wreszcie oboje zanurzyliby się w pocałunku, który roztopiłby ją niczym rozgrzany miód.

Tylko że ten czas już minął.

– Może po prostu nie umiesz straszyć – odparła i poszła dalej.

Kaz dogonił ją i szedł z nią ramię w ramię, wciskając ręce do kieszeni.

– Ale ja j e s t e m straszny. Co z tym prychnięciem? Ugryzieniem? Każdy normalny człowiek dostałby zawału. Oprócz ciebie, ty masz lód zamiast krwi.

Zignorowała go, dodał więc:

– Ruszamy z Josefem z nową trasą. Wampirzą trasą po Starym Mieście. Turyści oszaleją.

Oczywiście, pomyślała Karou. Turyści płacili spore pieniądze za „trasy strachu” Kaza, które polegały na tym, że przewodnik przepędzał ich krętymi praskimi uliczkami pośród ciemności i zatrzymywał w miejscach, gdzie ponoć dokonano morderstw. Wtedy „duchy” wyskakiwały z bram, wywołując głośne okrzyki. Sama wielokrotnie grała takiego ducha, trzymała w dłoni zakrwawioną głowę i wydawała głośne jęki, a wrzaski turystów przechodziły w śmiech. Fajne to było.

Kaz też był fajny, ale zdążyło mu przejść.

– No to powodzenia – oznajmiła beznamiętnie i ruszyła przed siebie.

– Mogłabyś się nam przydać – odparł Kaz.

– Nie.

– Mogłabyś odegrać seksowną wampirzą uwodzicielkę...

– Nie.

– Wabić mężczyzn...

– Nie.

– Założyć tę twoją pelerynę...

Karou zamarła.

Kaz odezwał się łagodnie:

– Nadal ją masz, prawda, kochana? To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Ten czarny jedwab kontrastujący z twoją białą skórą...

– Skończ – syknęła, zatrzymując się pośrodku placu Maltańskiego.

Na Boga, pomyślała. Jak głupia musiała być, że kiedyś uległa temu ślicznemu, ale miernemu ulicznemu aktorowi, że się dla niego stroiła i podarowała mu takie wspomnienia? Musiała być wybitną idiotką.

Samotną idiotką.

Kaz uniósł dłoń, by strzepnąć płatek śniegu z jej rzęs.

– Dotknij mnie – oznajmiła – a ta kawa wylądować ci na twarzy.

Opuścił rękę.

– Och, Roo, Roo, moja ognista Karou. Kiedy przestaniesz się na mnie dąsać? Przecież już przeprosiłem.

– Ależ przepraszaj sobie, byle z dała ode mnie.

Rozmawiali po czesku, a jej nabyty akcent idealnie pasował do jego wrodzonego.

Kaz westchnął, zirytowany, że Karou wciąż nie przyjęła jego przeprosin. To nie wpisywało się w jego założenia.

– No weź – wymamrotał. Głos miał jednocześnie łagodny i szorstki, niczym bluesowy wokalista, w którego śpiewie chropowaty żwir miesza się z gładkim jedwabiem. – Jesteśmy dla siebie stworzeni.

Stworzeni. Karou żywiła szczerą nadzieję, że jeśli jest dla kogokolwiek „stworzona”, to bynajmniej nie dla Kaza. Spojrzała na niego, na pięknego chłopaka, którego uśmiech nieodmiennie ją przyzywał, mamił, by stanęła u jego boku. Brzmiało to jak doskonałe miejsce dla Karou, miejsce, w którym wszystkie barwy są żywsze, a doznania głębsze. Ale jak odkryła, było to też uczęszczane miejsce, które chętnie zajmowały inne dziewczęta, gdy ona je opuszczała.

– Niech Svetla odegra twoją wampirzą uwodzicielkę – rzuciła Karou. – Akurat rolę uwodzicielki ma ograną.

Na twarzy Kaza odbił się ból.

– Nie chcę Svetly. Chcę ciebie.

– Przykro mi. To nie wchodzi w grę.

– Nie mów tak – poprosił, wyciągając do niej rękę.

Odsunęła się, czując, jak serce znowu się w niej ściska mimo wszystkich prób zachowania dystansu. *Nie jest tego wart*, powiedziała sobie. *Nie jest wart nawet odrobinki starań.*

– Wiesz, że to już podpada pod stalking?

– Co. Przecież cię nie stalkuję. Po prostu akurat szedłem w tym samym kierunku.

– Jasne – odparła Karou.

Znajdowali się raptem kilka domów od jej szkoły. Prywatne Liceum Plastyczne Bohemii znajdowało się w różowym barokowym pałacu, znanym z tego, że podczas niemieckiej okupacji dwóch młodych czeskich nacjonalistów poderżnęło w nim gardło dowódcy Gestapo i napisało jego krwią „wolność”. Był to błyskawiczny, pełen odwagi akt buntu, po czym pojmano ich i wbito na szczyty kolumn po obu stronach bramy. A teraz wokół tej samej bramy kręcili się uczniowie, palili, czekali na znajomych. Kaz jednak nie należał do tej grupy – miał dwadzieścia lat, o kilka więcej niż Karou – a ona nigdy nie widziała, żeby wstawał z łóżka przed południem.

– A w ogóle to czemu nie śpisz?

– Mam nową pracę – odparł. – Wcześniej się zaczyna.

– A co, teraz robisz p o r a n n e wampirze trasy?

– Nie to. Chodzi o coś innego. O swego rodzaju o d k r y w a - n i e...

Uśmiechał się szeroko, chętnie. Cekał, aż zapyta go, co to za nowa praca.

Nie zamierzała. Bez cienia zainteresowania oznajmiła:

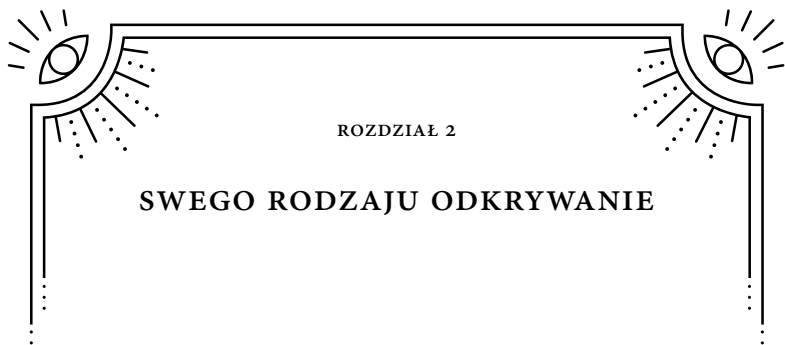
– Cóż, no to powodzenia. – I odeszła.

– Nie chcesz wiedzieć, co to takiego? – zawołał za nią Kaz. Nadal się uśmiechał, słyszała to w jego głosie.

– Mam to gdzieś – odchrzyknęła i minęła bramę.

...)(...

Stanowczo powinna była zapytać.



ROZDZIAŁ 2

SWEGO RODZAJU ODKRYWANIE

W poniedziałki, środy i piątki pierwszą lekcją Karou był rysunek. Kiedy weszła do studia, jej przyjaciółka, Zuzana, już na nią czekała. Zdążyła rozstawić im obu sztalugi tuż przed podestem dla modeli. Karou zrzuciła teczkę i płaszcz, rozwinęła szalik, po czym oznajmiła:

– Mam stalkera.

Zuzana uniosła brew. Była w tym absolutną mistrzynią, czego Karou jej zazdrościła, ponieważ jej własne brwi nie działały niezależnie od siebie, a to ograniczało zdolność wyrażania podejrzliwości czy wzdargy.

Zuzanie jedno i drugie wychodziło idealnie, ale teraz jej brew wyrażała nieco łagodniejsze uczucie, raczej coś w rodzaju spokojnej ciekawości.

– Nie mów mi, że Pan Gnojek znowu próbował cię przestraszyć.

– Ma teraz tę wampirzą fazę. Ugryzł mnie w szyję.

– Ach, ci aktorzy – wymamrotała Zuzana. – Mówię ci, musisz potraktować tego palanta paralizatorem. Naucz go, co spotyka tych, którzy wyskakują zniechacka na ludzi.

– Nie mam paralizatora. – Karou nie zamierzała dodawać, że go nie potrzebuje. Umiała się obronić i bez użycia elektryczności, w końcu odebrała nietypową edukację.

– No to go zdobądź. Serio. Niewłaściwe zachowanie powinno się spotkać z karą. Poza tym to będzie niezła zabawa, nie uważasz? Zawsze chciałam kogoś potraktować czymś takim. B z z z! – Z tymi słowy Zuzana udała, że wije się w konwulsjach.

Karou potrząsnęła głową.

– Nie, ty mała miłośniczko przemocy, nie uważam, że to byłaby zabawa. Jesteś okropna.

– Wcale nie. Kaz jest okropny. Powiedz, że nie muszę ci przypominać. – Spojrzała srogo na Karou. – Powiedz, że nawet nie rozważasz wybaczenia mu.

– Nie – oświadczyła Karou. – Ale spróbuj to wyjaśnić jemu.

Kaz nie umiał sobie wyobrazić, że jakaś dziewczyna mogłaby świadomie oprzeć się jego urokowi. A Karou tylko wzmocniła jego próżność przez te miesiące, gdy byli razem. Gapiła się na niego maślanym wzrokiem i dawała mu... wszystko? Teraz, pomyślała, chciał ją odzyskać przez zranioną dumę. Chciał sam sobie udowodnić, że może dostać wszystko, czego zapragnie, że to zależy wyłącznie od niego.

Może Zuzana miała rację. Może trzeba było go potraktować paralizatorem.

– Szkieownik – zaordynowała Zuzana, wyciągając dłoń niczym chirurg oczekujący na skalpel.

Autorytarność przyjaciółki Karou była odwrotnie proporcjonalna do jej rozmiaru. Metr pięćdziesiąt osiągała tylko w butach na koturnie. Tymczasem Karou miała prawie metr siedemdziesiąt, lecz wydawała się jeszcze wyższa, jak balerina z długą szyją i wiotkawatymi kończynami. Nie była baleriną, ale przypominała ją figurą, choć nie stylem; wszak niewiele balerin nosi jaskrawoniebieskie włosy albo konstelację tatuaży na każdej kończynie. Karou zaś miała jedno i drugie.

Gdy wygrzebywała szkieownik i podawała go przyjaciółce, widoczne były jedynie tatuaże na nadgarstkach, przypominające bransoletki: po jednym słowie na każdy przegub – *true* jak „prawda” i *story* jak „historia”.

Zuzana wzięła notes i w tym samym momencie dwoje innych uczniów, Pavel i Dina, zbliżyło się i zajrzało jej przez ramię. Szkicowniki Karou otaczał w szkole swego rodzaju kult. Ludzie przekazywali je sobie z rąk do rąk i podziwiali zawarte w nich dzieła. Ten – numer dziewięćdziesiąt dwa w całej serii – był zamykany na gumki, a gdy tylko Zuzana je zdjęła, otworzył się gwałtownie, ponieważ wszystkie strony tak ściśle wypełniały podkład i farby, że zamknięcia z trudem utrzymywały całość w ryzach. Na stronach zafalowały charakterystyczne dla Karou postacie, starannie naszkicowane i do głębi osobliwe.

Była tam Issa, od pasa w dół wąż, od pasa w górę zaś kobieta, o wielkich, krągłych i obnażonych piersiach rodem z Kamasutry, z kapturem i kłami kobry, a przy tym twarzą anioła.

Był też Twiga, z szyją jak żyrafa, zgarbiony i ze szkłem powiększającym w przymrużonym oku. Była Yasri, z dziobem papugi i oczami człowieka, a burza jej marchewkoworudych loków wyrywała się spod chusty. W dłoniach miała paterę z owocami oraz karafkę wina.

I jeszcze, ma się rozumieć, Brimstone, gwiazda szkicowników. Tutaj przedstawiła go z Kiszmiszem siedzącym na skręcie jednego z wielkich baranich rogów Brimstone'a. W fantastycznych historiach ze szkicowników Karou ten bohater zajmował się życzeniami. Niekiedy nazywano go Handlarzem Życzeń; kiedy indziej po prostu „zrzędą”.

Rysowała te postacie od dzieciństwa, a jej przyjaciele traktowali je tak, jakby były żywymi ludźmi.

– Co Brimstone zmalował w ten weekend? – zapytała Zuzana.

– To samo, co zwykle – odparła Karou. – Kupował zęby od morderców. Wczoraj dostał kilka zębów krokodyli z Nilu od tego okropnego somalijskiego kłusownika, ale ten idiota próbował go okraść i omal nie został uduszony wężowym kołnierzem. Ma szczęście, że przeżył.

Zuzana odnalazła tę historię narysowaną na ostatnich zajętych stronach szkicownika: wychodzące z orbit oczy Somalijszczyka, gdy wąż cienki jak bat zacisnął się wokół jego szyi niczym garota. Jak wyjaśniała wcześniej Karou, ludzie musieli przystać na założenie jednego z węży Issy, by móc przestąpić próg sklepu Brimstone'a. W ten sposób, jeśli tylko próbowali jakichś sztuczek, łatwo było przywołać ich do porządku, podduszając, nie zawsze śmiertelnie, lub, w razie konieczności, przegryzając gardło – to z kolei śmiertelne było.

– Jak ty to wymyślasz, szalona? – zapytała Zuzana z zachwytem i zazdrością jednocześnie.

– A kto mówi, że wymyślam? Słuchaj, to wszystko jest prawdziwe.

– Aha. A ten kolor włosów to twój naturalny, jasne.

– A co? Oczywiście, że tak! – odparowała Karou, przeczesując palcami długie niebieskie pasmo.

– Tak jest.

Karou wzruszyła ramionami i zebrała włosy w niechlujny kok, po czym zabezpieczyła go, wtykając przez środek pędzel. Prawdę mówiąc, tak właśnie było, jej włosy wyrastały dokładnie w kolorze czystej ultramaryny wyciśniętej prosto z tubki, ale Karou wyjawiała to nieodmiennie z ironicznym uśmiechem, jakby miała świadomość, że opowiada rzeczy absurdalne. Przez lata odkryła, że tyle wystarczyło: ten leniwy uśmiech – i już, mogła mówić prawdę i nikt jej nie wierzył. To było łatwiejsze niż pamiętanie listy wszystkich kłamstw. Ta zagrywka stała się więc częścią jej osobowości: Karou z ironicznym uśmieszkiem i szaloną wyobraźnią.

Ale tak naprawdę to nie jej wyobraźnia była szalona, tylko życie: niebieskie włosy, Brimstone i cała reszta.

Zuzana podała szkicownik Pavlowi i zaczęła przeglądać strony swojego własnego, przydużego, szukając wolnej kartki.

– Ciekawe, kto dzisiaj zapozuje.

– Pewnie Wiktor – odparła Karou. – Dawno go nie było.

– Wiem. Liczę, że już nie żyje.

– Zuzana!

– No co? Ma jakieś osiem milionów lat. Równie dobrze mogli-
byśmy szkicować szkielet do anatomii, a nie ten stary wór kości.

Modeli było około dziesięcioro – kobiet i mężczyzn – w róż-
nym wieku i o różnych sylwetkach. Pozowali klasie na zmianę.
Ich różnorodność rozpościerała się od monumentalnej Madame
Svobodnik, której ciało przypominało raczej pejzaż niż ludzką
postać, po malutką Eliškę o talii osy, ulubienicę uczniów płci mę-
skiej. Wiekowy Wiktor znajdował się na końcu listy faworytów
Zuzany. Twierdziła, że ilekroć musi go rysować, ma koszmary
w nocy.

– Wygląda jak mumia, którą ktoś odwinął z bandaży. – Aż się
wzdrygnęła. – Pytam się: czy gapienie się na nagiego starca to
dobry sposób na rozpoczęcie dnia?

– Lepszy niż bycie ofiarą ataku wampira – zauważyła Karou.

Prawdę mówiąc, nie przeszkadzało jej rysowanie Wiktora.
Po pierwsze, miał tak dużą wadę wzroku, że właściwie nigdy
nie nawiązywał kontaktu wzrokowego z uczniami, co bardzo jej
odpowiadało. Nieważne, że od lat rysowała akty, nadal było to
dla niej niekomfortowe: szkicować jednego z młodych męskich
modeli, podnieść wzrok ze studium jego penisa – koniecznego
studium, wszak nie mogła pominąć tego obszaru – i odkryć, że
on też na nią patrzy. W takich przypadkach Karou czuła, jak
płoną jej policzki, i szybko chowała się za sztalugą.

Okaże się jednak, że wszystkie te przypadki zbledną wobec
horroru, jakiego miała dziś doświadczyć.

Akurat ostrzyła ołówek żyłką, gdy Zuzana wykrztusiła dziw-
nym, zduszonym głosem:

– Dobry Boże, Karou!

Karou z r o z u m i a ł a, zanim jeszcze podniosła wzrok.

Jak on to ujął? Odkrywanie... Ach, jak zręcznie! Ode-
rwała spojrzenie od ołówka i przyjrzała się Kazowi stojącemu
obok profesorki Fiali. Był boso, a na sobie miał togę. Blond
włosy do ramion, jeszcze nie tak dawno potargane przez wiatr

i lśniące od płatków śniegu, ściągnął w kucyk. Na jego twarzy w idealnych proporcjach mieszały się słowiańskie rysy i miękka sensualność: kości policzkowe jak wyszlifowane przez sprawnego jubilera, usta, których chciało się dotknąć opuszkami palców, by sprawdzić, czy faktycznie są jak aksamit. A Karou wiedziała, że są.

Głupie usta.

W całej sali rozległy się pomruki. „Nowy model, dobry Boże, jaki cudowny...”

Jeden z szeptów przebił się ponad inne:

– Czy to nie chłopak Karou?

Były, miała ochotę odwarknąć. Tak totalnie i niezaprzeczalnie były.

– Chyba tak. Tylko na niego spójrzcie...

Karou wpatrywała się w niego z kamienną twarzą, licząc, że przybrała minę olimpijskiego spokoju. *Spróbuj się nie rumienić*, przykazała samej sobie. *Nie rumień się*. Kaz wbił w nią wzrok i się uśmiechnął, aż w jednym policzku pojawił mu się dołek. Jego spojrzenie było rozleniwione i rozbawione. A kiedy już upewnił się, że ona też patrzy, miał czelność do niej mrugnąć.

Wokół Karou eksplodowały chichoty.

– Och, co za czort... – wykrztusiła Zuzana.

Kaz wszedł na podest dla modeli. Spojrzał wprost na Karou, rozwiązując węzeł; patrzył na nią, zdejmując togę. A potem były chłopak Karou stanął przed całą klasą, piękny jak młody bóg i nagi jak go Bóg stworzył. Na piersi, tuż powyżej serca, miał nowy tatuaż.

Bogato zdobione K kursywą.

Rozległo się jeszcze więcej chichotów. Uczniowie nie wiedzieli, na kogo patrzeć: na Karou czy raczej na Kazimira, więc wodzili wzrokiem od niej do niego i z powrotem, czekając na rozwój dramatycznych wydarzeń.

– Cicho! – odezwała się wstrząśnięta profesorka Fiala, klaszcząc w dłonie, póki śmiech nie umilkł.

Karou poczuła, że się rumieni i nic nie może na to poradzić. Czerwień i gorąco najpierw wstąpiły na pierś i szyję, a potem na twarz. Kaz tymczasem nie odrywał od niej wzroku. Dołek w policzku pogłębił się w wyrazie zadowolenia, gdy dostrzegł jej rumieniec.

– Pozy po minucie, Kazimirze – poprosiła Fiala.

Kaz przybrał pierwszą pozę. Była ona dynamiczna, jak to zwykle z minutowymi pozami – skrzyżowany tułów, napięte mięśnie, kończyny naciągnięte w symulacji działania. Szkice rozgrzewkowe skupiały się na ruchu i płynnych liniach, a Kaz wykorzystał okazję, by pochwalić się swoim ciałem. Karou przyszło do głowy, że nie słyszy zbyt wielu odgłosów skrobienia ołówkami. Czy inne dziewczyny w klasie też gapiły się tępo, zupełnie jak ona?

Pochyliła głowę, wzięła zaostriżony ołówek – wyobrażając sobie inne jego zastosowania, które radośnie by wypróbowała – po czym zaczęła szkicować. Szybkie, płynne linie, wszystkie szkice na jednej stronie. Nakładały się na siebie, tworząc coś niczym ilustracja tańca.

Kaz był wdzięcznym modelem. Tyle czasu spędzał na patrzeniu na swoje odbicie w lustrze, że zdawał sobie sprawę, jak skutecznie wykorzystać własne ciało. Powiedziałby, że to jego narzędzie, ciało bowiem, podobnie jak głos, stanowiło właśnie narzędzie pracy aktora. Cóż, akurat Kaz był kiepskim aktorem – dlatego łapał się swoich widmowych tras i okazjonalnych niskobudżetowych produkcji *Fausta* – ale nadawał się na modela dla artystów, o czym Karou wiedziała, ponieważ rysowała go już wielokrotnie.

Jego ciało, gdy pierwszy raz widziała je... odkryte... przewodziło Karou na myśl Michała Anioła. W przeciwieństwie do niektórych renesansowych artystów, preferujących modeli szczupłych i efemerycznych, Michał Anioł był zainteresowany siłą, dlatego przedstawiał pracowników kamieniołomów o szerokich barkach, i jakimś cudem umiał ująć ich jednocześnie w sposób cielesny i elegancki. Taki był właśnie Kaz: cielesny, a zarazem elegancki.

A do tego zakłamanym. I narcystycznym. I szczerze mówiąc: trochę głupi.

– Karou! – Brytyjka imieniem Helen zaszeptwała gwałtownie, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. – Czy to on?

Karou zignorowała ją. Rysowała dalej, udając, że wszystko jest w porządku. To po prostu zwykły dzień zajęć. A że model ma taki uroczy dołeczek i nie odrywa od niej wzroku? Starannie nie zwracała na to uwagi.

Kiedy zabrzączał timer, Kaz spokojnie wziął togę i ją założył. Karou miała nadzieję, że nie wpadnie mu do głowy zacząć się przechadzać po sali. *Zostań tam, gdzie jesteś*, zażądała w myślach. Ale on nie posłuchał. Ruszył w jej stronę.

– Cześć, Panie Gnojku – odezwała się Zuzana. – Coś skromnie ci idzie.

Zignorował ją, zwracając się do Karou:

– Podoba ci się mój nowy tatuaż?

Uczniowie wstawali, żeby się porozciągać, ale zamiast rozpierchnąć się na dymka czy do toalet, niby to przypadkiem znajdowali się w zasięgu ich głosów.

– Jasne – odparła Karou, starając się brzmieć lekko. – K to od Kazimira, prawda?

– Zabawna jesteś. Przecież wiesz, co oznacza.

– Cóż – wymamrotała, przybierając pozę Myśliciela. – Wiem, że jest tylko jeden człowiek, którego naprawdę kochasz, i że jego imię zaczyna się od K. Ale jestem w stanie sobie wyobrazić lepsze miejsce dla tego tatuażu niż twoje serce. – Wzięła do ręki ołówki i na ostatnim szkicu przedstawiającym Kaza dorysowała K na jednym z jego klasycznie wyrzeźbionych pośladków.

Zuzana wybuchnęła śmiechem, a Kaz napiął mięśnie szczęki. Jak większość próżnych osób nie znoślił, kiedy ktoś się z niego naśmiewał.

– Nie tylko ja mam tatuaż, co nie, Karou? – zapytał, po czym przeniósł wzrok na Zuzanę. – Pokazywała ci?

Zuzana zaprezentowała Karou podejrzliwą wersję swojej żywotnej brwi.

– Nie mam pojęcia, o którym mówisz – skłamała spokojnie dziewczyna. – Tatuaż mam pod dostatkiem.

By to zademonstrować, pokazała nie *true czy story*, i nawet nie węża otaczającego kostkę czy jakiegokolwiek inne ukryte dzieła sztuki. Zamiast tego uniosła dłonie wnętrzem do góry. Pośrodku każdej z nich znajdowało się oko wytatuowane głęboko granatowym tuszem. Tatuaze zamieniały jej dłonie w hamsy, starożytne symbole chroniące przed złym okiem. O rysunkach w tym miejscu na ciele mówi się, że szybko blakną – ale nie u Karou. Miała te oczy, odkąd pamiętała; na ile znała ich pochodzenie, właściwie mogła się z nimi urodzić.

– Nie te – powiedział Kaz. – Mówię o tym z napisem Kazimir, nad sercem.

– Nie mam takiego tatuażu – odezwała się, starając się nadać głosowi zaskoczone brzmienie.

To powiedziawszy, rozpięła kilka górnych guzików swetra. Pod spodem nosiła podkoszulek, toteż pociągnęła go lekko w dół, by pokazać, że faktycznie nie ma tatuażu nad piersią. Jej skóra była w tym miejscu biała jak śnieg.

Kaz zamrugał.

– Co? Jakim cudem...?!

– Chodź ze mną. – Zuzana złapała Karou za rękę i odciągnęła ją na bok.

Wykonując slalom między sztalugami, Karou czuła na sobie ciekawskie spojrzenia wszystkich w sali.

– Zerwaliście ze sobą? – zapytała po angielsku Helen, ale Zuzana uciszyła ją władczym gestem.

Wyprowadziła Karou ze studia i zaciągnęła do damskiej toalety. Tam, wciąż z uniesionymi brwiami, zapytała:

– Co to było, u diabła?

– Że co?

– Co co?! Właściwie pokazałaś mu cycki.
– Proszę cię, wcale nie.
– Nieważne. O co chodzi z tym tatuażem nad sercem?
– Przecież ci pokazałam. Nic tam nie ma. – Nie uznała za stosowne dodać, że kiedyś faktycznie coś tam się znajdowało; wolała udawać, że nigdy nie była aż tak głupia. Poza tym nie widziała możliwości, żeby wyjaśnić, w jaki sposób pozbyła się tatuażu.

– No dobrze. Ostatnim, czego potrzebujesz, jest imię tego idioty gdzieś na swoim ciele. Dasz wiarę? Czy jemu się wydaje, że jeśli błysnie swoim chłopięcym ciałem, pomacha nim przed tobą jak wędką przed kotem, polecisz za nim bez słowa?

– Jasne, że tak mu się wydaje – odparła Karou. – To jego obrażenie o romantycznym geście.

– Wystarczy, że powiesz Fiali, że cię stalkuje, a wykopie go ze studia.

Karou też o tym myślała, ale teraz potrząsnęła głową. Sama potrafi wymyślić lepszy sposób na pozbycie się Kaza z sali i ze swojego życia. Miała do dyspozycji środki, o których większość ludzi nie mogła nawet marzyć. Coś wykombinuje.

– Nie żeby koszmarnie się go rysowało. – Zuzana podeszła do lustra i odgarnęła z czoła ciemne kosmyki. – To muszę mu oddać.

– Aha. Szkoda, że przy okazji jest gargantuicznym dupkiem.
– Wielkim, durnym wrzodem na tyłku – przytaknęła Zuzana.
– Gadającym hemoroidem.
– Hemoroidem. – Zuzana zachichotała. – Podoba mi się to.
W głowie Karou pojawił się pewien pomysł i dyskretny, demoniczny uśmieszek przeciął jej twarz. Zuzana to zauważyła.

– O co chodzi?

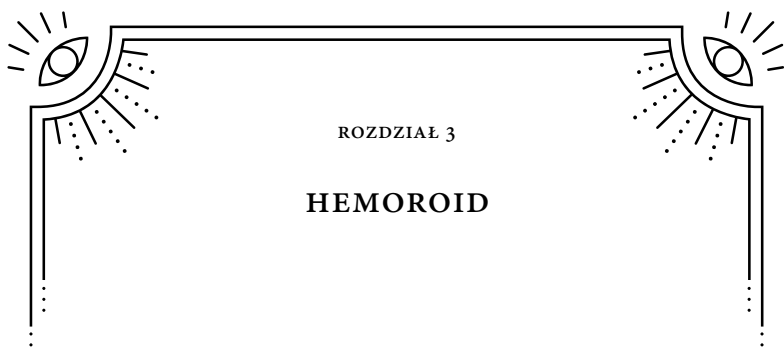
– Nic takiego. Lepiej wracajmy.

– Jesteś pewna? Nie musisz...

Karou skinęła głową.

– Jest okej.

Kaz już się nacieszył swoim szachrajstwem. Teraz była jej kolej. W drodze powrotnej do studia musnęła naszyjnik, który nosiła dziś na szyi, kilka sznurów afrykańskich koralików we wszystkich możliwych kolorach. Tylko wyglądały jak afrykańskie koraliki, były bowiem czymś więcej. Nie bardzo więcej, ale do planu Karou to wystarczyło.



ROZDZIAŁ 3

HEMOROID

Profesorka Fiała poprosiła Kaza o pozę leżącą na resztę zajęć. Chłopak wyłożył się na szezlongu w sposób może nie otwarcie lubieżny, ale zdecydowanie sugestywny, z nieco zbyt mocno rozłożonymi kolanami i kusicielskim uśmiechem. Tym razem obeszło się bez chichotów, lecz Karou czuła falę gorąca w pomieszczeniu, jakby wszystkie dziewczęta w klasie – i co najmniej jeden chłopak – pilnie musiały się powachlować. Na nią to nie działało. Tym razem gdy Kaz spojrział na nią spod przymrużonych powiek, odważnie spotkała się z jego wzrokiem.

Przystąpiła do szkicowania i robiła, co mogła, myśląc przy tym, że to ma sens: skoro ich relacja zaczęła się od rysowania, nim także powinna się skończyć.

Kiedy pierwszy raz go zobaczyła, siedział dwa stoliki od niej w Wąsatym Barze. Nosił podkreślony wąsik typowego szwarczaka – teraz brzmiało to jak zapowiedź pewnych wydarzeń, ale przecież to był Wąsaty Bar, prawda? Wszyscy tam nosili wąsy – Karou też założyła wąs chińskiego cesarza, który kupiła w automacie. Swoją zarost i zarost Kaza wkleiła tamtego wieczoru do szkicownika – numer dziewięćdziesiąt – a powstała w ten sposób wypukłość idealnie wskazywała miejsce, gdzie zaczęła się ich wspólna historia.

Pił piwo ze znajomymi, a Karou, nie mogąc oderwać od niego wzroku, po prostu go narysowała. Zawsze rysowała, nie tylko Brimstone'a i inne stwory z jej sekretnego życia, ale scenki i ludzi z normalnego świata. Sokolników i ulicznych muzyków, brodatych albo brzuchatych prawosławnych duchownych, a od czasu do czasu pięknego chłopca.

Zazwyczaj uchodziło jej to płazem, ponieważ obiekty jej rysunków tego nie zauważały, ale tym razem piękny chłopiec przyłapał ją, jak patrzyła. Zanim się zorientowała, już uśmiechał się pod dolepianymi wąsami i szedł w jej stronę. Jak bardzo polećtał jego ego jej szkic! Pokazał go znajomym, złapał ją za rękę, by na pewno do nich dołączyła, i nie puszczał jej, splótłszy palce z jej palcami, nawet wtedy, gdy już przysiadła się do ich stolika. Tak się zaczęło: od tego, że zachwycała się jego urodą, a on pławił się w tym uczuciu. I ni mniej, ni więcej tak to wyglądało później.

Oczywiście, mówił jej, że i ona jest piękna, i to właściwie cały czas. Bo przecież gdyby piękna nie była, w ogóle by nie podchodził do jej stolika i nie zagadywał. Kaz nie należał do osób, które patrzyłyby na jej piękne *w n ę t r z e*. Karou zaś była, krótko mówiąc, urocza. Urodziwie blada, długonoga, z długimi błękitnymi włosami i oczami jak gwiazda kina niemego. Do tego miała uśmiech sfinksa i ruchy kota. Poza tym że po prostu piękna, jej twarz była pełna życia, spojrzenie zawsze roziskrzone i jasne. Miała też ptasi zwyczaj przekrzywiania głowy. Zaciskała usta, a jej ciemne oczy tańczyły, zdradzając obecność wielu tajemnic.

Karou faktycznie była tajemnicza. Wyglądało na to, że nie ma rodziny, nigdy nie mówiła o sobie, miała również czarny pas w wymijających odpowiedziach. Nawet przyjaciele wiedzieli o jej pochodzeniu tyle, że równie dobrze mogła wyskoczyć z głowy Zeusa. Stanowiła też niewyczerpane źródło niespodzianek. Z kieszonki wiecznie wysypywały jej się różne dziwne rzeczy: starożytne brązowe monety, zęby, małe jadeitowe figurki tygrysów nie większe niż jej kciuk. Mogło się okazać, gdy targowała się o okulary przeciwsłoneczne z afrykańskim ulicznym sprzedawcą,

że biegle mówi w języku joruba. Pewnego razu Kaz rozebrał ją i odkrył nóż ukryty w jednym z jej butów. Zastanawiające było też to, że nie dało się jej przestraszyć, no i te blizny na brzuchu – trzy lśniące rozdarcia, które mogły zrobić tylko pociski.

– Kim ty jesteś? – pytał niekiedy oczarowany Kaz, a Karou odpowiadała rzewnie:

– W sumie to nie wiem.

Naprawdę nie wiedziała.

Teraz rysowała pospiesznie i nie uciekała przed spojrzeniem Kaza, przyglądając się to modelowi, to szkicowi. Chciała widzieć jego twarz.

Chciała widzieć tę chwilę, w której zrzędzie mu mina.

Dopiero gdy ujęła jego pozę na rysunku, uniosła lewą dłoń – nie przestając szkicować prawą – i dotknęła koralików na szyi. Jeden z nich wzięła między kciuk a palec wskazujący i przytrzymała dłużej chwilę.

A potem pomyślała życzenie.

To było bardzo drobne życzenie. W końcu koraliki należały do najmniejszych paciorków. Życzenia przypominały pieniądze w tym, że miały różne nominały, a drobne koraliki oznaczały co najwyżej grosze. Albo i gorzej, ponieważ w przeciwieństwie do monet życzeń nie można sumować. Wiele groszy dawało monety o większym nominale, a paciorki były po prostu paciorkami i nawet całe ich sznury, jak w tym naszyjniku, nigdy nie umożliwiały spełnienia większych życzeń – tylko wiele drobnych, niemal bezużytecznych.

Jak na przykład s w ę d z e n i e.

Tego właśnie Karou życzyła Kazowi. Koralik zniknął między jej palcami, wykorzystany, więc już nieistniejący. Nigdy wcześniej nikomu nie życzyła wysypki, dlatego by się upewnić, że życzenie zadziała, zaczęła od miejsca, w którym podrapie się bez wstydu: od łokcia. Kaz oczywiście po prostu musnął nim poduszkę, prawie nie zmieniając pozy. Karou uśmiechnęła się pod nosem, nie przestając rysować.

Kilka sekund później wzięła między palce kolejny paciorek i znowu zażyła sobie tego samego, tym razem na nosie Kaza. Kolejna kulka zniknęła, naszyjnik skrócił się właściwie niezauważalnie, a twarz chłopaka wykrzywił grymas. Przez krótką chwilę walczył z pokusą, ale ostatecznie poddał się i szybko podrapał po nosie wierzchem dłoni, po czym wrócił do pozy. Jego rozleniwiony uśmiech zniknął, co nie uszło uwagi Karou. Musiała przygryźć wargę, by powściągnąć swój uśmiech.

Och, Kazimirze, pomyślała, trzeba było nie przychodzić tu dzisiaj. Doprawdy, lepiej by było, gdybyś dziś zaspał.

W kolejnym rzucie zażyła sobie swędzenia w ukrytym miejscu – była to część jej diabelskiego planu. Spojrzała w oczy Kaza w tej samej chwili, w której to poczuł. Jego brwi zmarszczyły się raptownie w wyrazie napięcia. Karou przekrzywiła lekko głowę, jakby chciała zapytać: „Coś się stało, mój drogi?”

W tym miejscu nie mógł się podrapać publicznie. Zbladł. Poruszył biodrami, niezdolny do pozostania w bezruchu. Karou dała mu chwilę wytchnienia i rysowała niestrudzenie. Gdy tylko nieco się rozluźnił i... uspokoił... zrobiła to samo. Z trudem powstrzymała chichot, kiedy jego twarz stężała.

Miedzy jej palcami zniknął kolejny koralik.

A potem jeszcze jeden.

Pomyślała przy tym: *To nie tylko za dziś. To za wszystko. Za złamane serce, którego ból wciąż odczuwała niczym cios zadany w splot słoneczny, ilekroć sobie o nim przypominała; za każdym razem przeszywał ją jak za pierwszym, i to w niespodziewanych momentach. Za wygłaszane z uśmiechem kłamstwa i wyobrażenia, których nie mogła się pozbyć. Za wstyd, który czuła z powodu własnej naiwności.*

Za to, że samotność jest o wiele gorsza, gdy wracasz do niej po przerwie, jakby to była duchowa wersja zakładania mokrego kostiumu kąpielowego, lepkiego i budzącego odrazę.

A to, pomyślała Karou i przestała się uśmiechać, jest za to, czego już nie odzyskam.

Za jej dziewictwo.

Gdy przeżyła tamten pierwszy raz, w pamiętnej czarnej pelerynie i bez niczego pod spodem, czuła się taka dorosła – jak te Czeszki, z którymi prowadzali się Kaz i Josef, wyluzowane słowiańskie piękności imieniem Svetla czy Františka, wyglądające tak, jakby nic nie mogło ich zaskoczyć ani rozbawić. Czy naprawdę chciała być taka jak one? Udawała taką, odgrywała rolę dziewczyny – k o b i e t y – której jest wszystko jedno. Traktowała dziewictwo jak kotwicę przykuwającą ją do dzieciństwa. A potem się tej kotwicy pozbyła.

Nie spodziewała się, że będzie jej przykro. Z początku zresztą nie było. Sam akt ani nie rozczarował, ani nie oczarował; był tym, czym miał być – nowym odcieniem bliskości. Wspólnym sekretem.

A przynajmniej tak jej się zdawało.

– Wyglądasz inaczej, Karou – powiedział przyjaciel Kaza, Josef, gdy spotkali się następnym razem. – Czyżbyś... lśn i ła?

Kaz wałnął go w ramię, by ten umilkł. Sprawiał przy tym wrażenie jednocześnie niepewnego i zadowolonego z siebie. Karou już wiedziała, że wszystko wygadał. Nawet dziewczynom, ponieważ ich rubinowe usta wyginały się w znaczących uśmiechach. Svetla – ta, z którą Karou później go przyłapała – posunęła się zresztą do komentarza wypowiedzianego z kamienną twarzą, jakoby peleryny wracały do mody. Kaz zarumienił się lekko, odwracając wzrok. To był jedyny sygnał świadczący o tym, że poczuł, że źle zrobił.

Karou nie powiedziała o tym nawet Zuzanie – początkowo nie zdecydowała się na to dlatego, że to było tylko ich wspomnienie, jej i Kaza, a potem dlatego, że się wstydziła. W ogóle nikomu się nie przyznała, ale Brimstone, jak to on, po prostu wiedział, domyślił się i wykorzystał okazję, żeby palnąć jej całe kazanie.

To dopiero było ciekawe!

Głos Handlarza Życzeń był tak głęboki, że równie dobrze mógłby stanowić cień faktycznego dźwięku; coś na granicy słyszalności.

– Nie znam w życiu zbyt wielu zasad – powiedział wtedy – ale podzielę się z tobą jedną z nich. Jest bardzo prosta. Nie przyjmuj w siebie nic zbędnego. Żadnych trucizn, chemikaliów, dymu, spalin, alkoholu, żadnych ostrych przedmiotów, nadprogramowych igieł, niezależnie czy mówimy o lekach, czy o tatuażach... no i żadnych nadprogramowych penisów.

– Nadprogramowych penisów? – powtórzyła Karou, zachwycona tym sformułowaniem mimo targającej nią rozpacz. – To istnieją jakieś programowe?

– Kiedy trafi ci się programowy, będziesz o tym wiedziała – odparł. – Nie zadowolaj się byle czym, dziecino. Zaczekaj na miłość.

– Miłość.

Cały zachwyt wyparował z niej w jednej chwili. Przecież wydawało jej się, że to była miłość.

– Miłość przyjdzie. Będziesz wiedziała – obiecał Brimstone, a ona z całego serca pragnęła mu wierzyć. W końcu żył od setek lat, czyż nie? Karou nigdy wcześniej nie myślała o jego ewentualnej miłości – jak patrzyła na Brimstone'a, niezbyt się do tego nadawał – ale miała nadzieję, że przez tych kilka wieków nabrał pewnej mądrości i że miał rację co do jej losu.

Ze wszystkich bowiem rzeczy na świecie to było jej największe sieroce pragnienie: pragnienie miłości. A Kaz stanowczo go nie spełnił.

Koniuszek ołówka się złamał, tak mocno przyciskała go do papieru. W tej samej chwili wybuch wściekłości przemienił się w serię śwędzących miejsc, co zrobiło z jej naszyjnika obrózkę, a Kaza właściwie zrzuciło z podestu. Karou puściła biżuterię i obserwowała chłopaka. Już biegł do drzwi z togą w ręce. Otworzył je i wypadł na zewnątrz, wciąż nagi jak go Pan Bóg stworzył, gorączkowo pragnąc uciec i znaleźć spokojne miejsce, w którym mógłby się oddać celebracji cierpienia.

Drzwi huknęły, a wszyscy w klasie zapatrzili się z niedowierzaniem na pusty szeslong. Profesorka Fiala spoglądała na drzwi znad okularów. Karou poczuła falę wstydu.

Może przesadziła.

– Co się stało z Panem Gnojkiem? – zapytała Zuzana.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Karou, wpatrując się w rysunek.

Na kartce widniał Kaz, cielesny i elegancki zarazem, i wyglądał, jakby czekał na przybycie kochanki. To mógłby być niezły szkic, ale go zepsuła. Linie pociemniały, tracąc całą subtelność. Kończyły się chaotycznymi skrobnięciami mającymi stanowić jego... nadprogramowy penis. Karou zaczęła się zastanawiać, co Brimstone by sobie pomyślał, gdyby ją teraz zobaczył. Zawsze krytykował jej nierozważne życzenia – ostatnio to, które sprawiło, że brwi Svetly stały się w ciągu nocy tak grube, aż przypominały gąsienice, i że odrastały natychmiast po wyregulowaniu.

– Kobiety i za mniejsze przewiny palono na stosie, Karou – oznajmił wtedy.

No to mam szczęście, że nie żyję w średniowieczu, pomyślała.